

POD wpływami kultury romańskiej byliśmy zawsze, odkąd nauczyliśmy się pisać, ale nigdy w niewoli. Ostatnio coś jakby się zmieniło na niekorzyść. Można tak mniemać, bo ostatnio w Warszawie rozbiła się bania z romańszczyzną. Dwie farsy francuskie — w „Kwadracie” „Pepsi” w Rozmaitościach „Zajmij się Amelią” Feydeau i w dodatku „Bel-Ami i jego sobowtór” Luciano Codignoli w Powszechnym. Motyw francuski, autor włoski. Ciekaw jestem, co robią urzędnicy warszawskiego Wydziału Kultury, którzy zatwierdzają teatralny repertuar? Do nich przecież należy sprawa koordynacji. Jeszcze raz potwierdza się stara prawda — repertuar może być sobie jaki chce, byle nie był zbyt interesujący.

Nie jestem wrogiem kultury romańskiej ani francuskich fars, ale we wszystkim musi być umiar. Poza tym łatwo przewidzieć skutki takiej fali. Bardzo prędko nastąpi odpyływ, krąg kultury romańskiej zniknie z naszych scen, po czym znowu będzie przypływ itd.

Ze farsy francuskiej, przy całej swojej łatwości, są gatunkiem trudnym — to wiadomo. Najlepszym przykładem jest premiera w Rozmaitościach „Zajmij się Amelią”. Po prostu trzeba umieć to zagrać. Nasze repertuaru rozrywkowego na próżno zmagają się z wymogami gatunku, usiłując grać wszystko tak

samo — i Osiecką, i Młynarskiego, i Feydeau i jeszcze kogoś innego.

O wiele ciekawszą sprawą, a od motywów farsowych wcale nie odległą, jest prapremiera „Bel-Ami...”. W którymś z poprzedzających ją wywiadów wyrażano dumę, że wystawienie w Powszechnym sztuki Codignoli jest prapremierą światową. Uśmieleam się sardęcznie. Tak to bywa, gdy się w zamęcie pracy twórczej traci poczucie rzeczywistości, a raczej dopuszcza się, aby szalały niczym nie miarkowane stare snobizmy i kompleksy.

Rozumiem jeszcze takie stawianie sprawy, gdy chodzi o dzieło jednego z dramatugów czołówki światowej, chociaż lepiej, żeby każdy kraj

KOMPLEKSY RETRO

zdobywał się na własne wielkości. Ale traktowanie w taki sposób sztuki Codignoli jest pewną przesadą. W ten sposób każdy teatr mógłby reklamując dzieło bardzo średniego autora ogłaszać, że jest to prapremiera światowa. Byłoby to dowodem braku realizmu.

Przedstawienie w Powszechnym prapremierą światową może dopiero się stać, jeżeli sztuka wykaże siłę przebicia na wybitne sceny w różnych krajach.

Może się stać, a może i nie stać. W tym ostatnim utwierdza mnie pewien błąd w założeniu, popełniony przez Codignolę. Otóż sądzą, że wcale nie chciał on napisać sztuki dobrej. Przede wszystkim chciał napisać sztukę mądrą albo o której mówiono by, że jest mądra, intelek-

tualna itp. Jak kania dżdżu, tak Codignola ląknie mądrości, dlatego nie baczy, że materia trzeszczy jak prześcieradło nadmiernie maktretowane przez bohaterów Maupassanta.

Napisanie adaptacji „Bel-Ami” byłoby za mało mądre, ale od powieści tak zupełnie odejść nie można, bo fabuła zatrzymuje widza w krzesłach, a autor nie czuje się na siłach wymyślić coś równie atrakcyjnego. Wobec tego siebie doczepia do czyjejś fabuły. Wprowadza na scenę Maupassanta dyskutującego o świecie w sposób tyleż dosadny, co niezbyt odkrywczy, o kobietach, jeszcze mniej ma do powiedzenia o swoim piarstwie i powieści. Ale żeby rzecz

natomiast wpatrywał się w samą sztukę. Gwiazdą jest Wojciech Pszoniak, ale jest to gwiazda innego gatunku. Nie tego, który jest akurat potrzebny.

Pszoniak wcielił się w Maupassanta. W porządku. Kiedy zaczyna jednak być Bel Ami, coś w porządku być przestaje. Postać działa przeciwko możliwościom fizycznym tego wybitnego aktora. Dlatego Pszoniak, broniąc się, gra dalej Moryca z „Ziem obiecanej”, który nie uwodzi, on „sze kręci”.

A przecież dla wizji Bel Ami w tej sztuce najważniejsze są słowa Maupassanta. U Codignoli mówi on, że Bel Ami jest tym, kim byłby on sam, gdyby miał zdrowie i temu podobne przymioty. Jest to pewna idealizacja, prawo kompensacji. Dlatego w sztuce włoskiego autora postać Bel Ami powinien zagrać ktoś inny. Można nawet określić, jak powinien wyglądać: jeśli Pszoniak jest niekiego wzrostu, tamten powinien być wysoki, jeśli Pszoniak jest tzw. rzadkim blondynem, tamten powinien dysponować bujną czupryną, może być sztuczna. Tu potrzebny jest — nie bójmy się tego słowa — amant.

Ten typ aktora we współczesnym teatrze wymarł niemal zupełnie. Dlatego można podejrzewać, że trudności obsadowe mogły mieć również wpływ na wystawienie sztuki Codignoli.

Przyszła moda retro, wszak moda na farsę i fin de siècle jest tego odbiciem. Powstało zatem znowu zapotrzebowanie na amantów, tzw. prawdziwych mężczyzn. Tego zapotrzebowania aktorami charakterystycznymi nie da się zaspokoić. Stara prawda — nie wystarczy chcieć, trzeba móc.

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI